Przyjaciel Ludu.

ROK SIODMY. **No. 23.** **Leszno,** *dnia* 5. *Grudnia* **1840.**



Albertus.

Karykatury historyczne.

(Dalszy ciąg.)

2.

Albertus. (1)

Rok 1596.

W szesnastym wieku zjawiła się u nas figura Albertusa, zyskała rozgłośne imię, i przetrwała do siedmnastego. Miała ona szczególny powab w narodzie, tak, że Łukasz Opaliński w przedmowie do satyr swoich mówi: „Myśla-

(1) Opisały nam Albertusa wiersze pod napisem: 1. Wyprawa plebańska Albertusa na wojnę, 1596. r. 2. Albertus z wojny; w Krakowie z drukarni Łazarzowéj, roku Pańskiego 1596.; in 4to, druk gocki, sign. A. 2—E.

łem, coby pisać pod te czasy w Polsce? Czy „sielanki, czy fraszki, czyli sowizrzałów, Al„bertusów, czy bajki, czy też oracye?“

I wybrał satyry, bo czuł dobrze, że czas uderzył dla Albertusa zestarzałego, i trudno mu nadać młodzieńcze życie, krew, czucie i siłę; zszarzany poniewierką, żył sławą dawną, w młodych leciech zyskaną.

Albertus był Klechą u plebana, miał wzrost wyniosły; rządził szkółką wiejskich żaków, i przy tém rozszerzaniu oświaty, zahartował się na nędze. Obrzydł mu ten chleb w końcu, przy którym się nieraz hartował głodem, i z radością w chęci polepszenia losu chciał zakosztować żołnierki. Coś jéj znał nieco, bo gdy się lud z Krakowa pod Byczynę z Zamojskim gotował, namówił go Węgrzyn, upodobawszy sobie, że pięknie śpiewał. Albertus myśląc, że mu będzie tylko śpiewać, z ochotą przystał, ale kiedy musiał czyścić konia, wstawać przed świtem, a gdy zaspał, korbacz rzemienny go budził, porzucił służbę, uciekł tajemnie, zostawiwszy nawet swój kancyonał, oną księgę, z któréj śpiewał pobożne pieśni. — Pleban wiejski, zmuszony stawić pachołka zbrojnego, namawia Albertusa: a gdy ochotnie przystał, ruszają razem do Krakowa, i na Wendecie, gdzie sprzedawano rycerzom zbroje, rynsztunki i różne towary, poczciwy pleban zacząwszy od uzbrojenia nóg, kupuje najprzód ostrogi, siodło, potém pancerz, przyłbicę, miecz i strzelbę; a gdy tę obraca Albertus, pleban się stracha, prosząc, aby nie wykręcał do niego rury. Albertus dmucha w nią, pokazując, że nie nabita; ale to pobożnego nieuspokaja kapłana: bo wierzy, że z dopuszczenia Bożego i same olstro puści. Na Kleparzu kupują starego konia, co lubo był bywały w bitwach, zostawał na łaskawym już chlebie. Albertus ciągnie tę szkapę do domu, aż go ręce zabolały. Stanąwszy na plebanii, wybiera się nasz rycerz na wyprawę co rychléj; troskliwy pleban opatruje go w wojenne przybory. Na rumaka chudego, co stać ledwie może, pakuje Albertus w worach ćwierć grochu, pięć bochenków chleba, pół ćwierci wędzonéj rzepy, zamiast fig, serów kilka, ćwierć jagieł i krup tatarczanych, mąki pytlowéj i garnek gotowanéj kapusty: ten przybór dla samego rycerza; dla konia kładzie na grzbiet półkorca owsa z sieczką, siana kilka więzi, na których i oprzeć się może, i zasłonę mieć od wiatru. Teraz już sam dosiada siodła, przywdziewa przyłbicę, wdziewa pancerz, przypasuje miecz obosieczny, zawiesza na ramię harkabuz (strzelbę) nabity kulą, chwyta w rękę długą kopiją, i żegna się z plebanem.

„Żegnam was (mówi) księże prałacie, zostawiam tu wiele swoich rzeczy, które zachowajcie do mego powrotu. Zostawiam wam przysłowia Salomona (proverbia Salomonis) oprawne w skórę, i Katona po polsku pisanego; zostawiam kałamarz i dwie linie. Jeślibym zginął na wojnie, zapisuje to dla mojéj szkoły; ale się zbytnie nie kwapcie, bo nie mam ochoty zginąć, i niemyślę na raz śmiertelny głowy niebezpiecznie wychylać.“

Pleban daje rycerzowi napomnienia moralne, rozczulony rycerz słucha je razem z koniem, pochyliwszy głowy.

Jedź w imię Boże (prawi prałat), a z powrotem przynieś pożądaną nowinę pokoju, nie łupież biednych; a gdy staniesz do boju, na czoło nie wyjeżdżaj, ale jeśli co przypadnie do ciebie, nie przepuszczaj, i ukaż swe męztwo. Wiesz jaki oręż masz najprzód używać? Mnie się zdaje, że najlepiéj kulą porazić, ażby mu we łbie zagrzmiało; a potém kopiją z konia zrzucić, wtedy łacniéj mieczem głowę utniesz! Błogosławięć teraz cny rycerzu, jedź pewny modlitwy mojéj.

Rozczulony Albertus bodzie ostrogami rumaka, a odebrawszy krzyżyk przeżegnania, wyjeżdża ze łzami w oczach, zwolna by na raku, za wrota plebanii.

Jedzie, jedzie, za dwa dni nie mógł ujechać trzy mile; płacze Albertus, że co trzecie stąpienie utyka na łeb szkapa, a on się z siodłem zsmykał na szyję. Spadł na pierwszym noclegu, potłukł się nie mało. Uprosił gospodyni, by mu zgrzała piwa, pół garca klusek, a gdy to zjadł i nabił dobrze sobie boki, siadł weselszy Albertus na siodło, poddawszy obroku, ale koń niechce, bo zębów niema; daje chleba, i to niepomaga; ulżywa więc mu ciężary, zsiada, idzie piechotą; po drodze porzuciwszy legumin nieco. Ale na trzeci dzień siada na siodło, z kopiją w ręku, i wlecze się, jak może. Rano nieprzeżegnał się nawet, jak zwykłe czynił co dzień, a nieprzeżegnał, bo nie mógł, rąk wolnych niemając; prawą ręką trzymał się siodła, i w niéj dzierżył wodze (lejce), pod pachą długą przytrzymywał kopiją: lewą zaś ręką musiał krzepko przyciskać worki z leguminą i obrokiem, bo przypięte były nie mocno. — Przez cały dzień biedak nawet nosa utrzeć nie mógł, a do tego gniotła go przyłbica stalowa, mało łba mu nie obłupiła, nieczuł już i szyi od ciężaru wielkiego. Cóż z nią więc robi, oto przywięzuje u pyska końskiego, sypie w nię obrok, aby rumak podsilany ciągle, mógł chociaż raz w kłus puścić nogi. Próżna nadzieja! jak idzie, tak idzie żołwim krokiem. Na domiar nieszczęścia spada Albertusowi czapka, którą miasto przyłbicy włożył; biedak w prośby, aby mu kto podniósł; niewiasty, co przechodziły, w śmiech z rycerza, przecież litościwsza podała mu zgubę. Tak zturbowany dojeżdża do Bochni, mija błoto, ale gorzéj trafił, bo z rumakiem w głębszy dół wpada. Przyciska mu koń nogę, gniecie go ciężar zbroi, daremnie rata woła, nikt nie ratuje; porzuca więc rynsztunek, zostawia but z ostrogą pod koniem. Żal mu rumaka, na którym tyle przebył drogi; już się

przywiązał do niego, a chociaż pewny jego powolności, nie dowierzając mu, żeby czasem nie bryknął i nie uciekł, staje nad nim, cmoka zwolna, ale daremnie. Nadjeżdża kmieć w parę wołów, więc postronek zakłada za szyję, woły go ciągną, Albertus woła, ciska kamieniem, ale koń był tak ospały, właśnie jak ten, co nie śpi tydzień, a dopadnie pościeli. Jak woły szarpną rzeźwiéj postronkiem, zadusiły bachmata, co i tak ledwie dyszał.

Tak straciwszy rumaka, furmanom sprzedaje zbroję, bo zbłocony kaftan, jak usechł, mógł mu za pancerz służyć, za przyłbicę czapka, sama z kopiją, mieczem, i rusznicą, wsiadł na brykę pod łubem (nakryciem) i jak w karecie pojechał. W Proszowicach musiał wypocząć, bolały go wielce pięty, że bódł ustawicznie swego bieguna; tu umiejąc śpiewać, zarobił nieco grosza, napił się dobrze, bo przychylne szynkarki darmo częstowały. Wędrował wszakże daléj, i dostał się w krótce do obozu. Tu pamiętny słów plebana, aby umiał oszczędzać zdrowie i życie, nie wyskoczył nigdy na harc, do bitwy nie stawał, bo gdy trąby dały hasło, rozumny Albertus uciekał z pola, i gdzie przy plebanii prześpiewał czas walki; kiedy zaś ujrzał zwycięztwo rycerstwa, dostawszy ze zdobyczy lepszego konia, bieżał co tchu na pole, obdzierać poległych, i dzielić się łupem. Tak przyszedł do grosza, do pięknéj zbroi; a gdy po bitwie przy ogniskach towarzysze rozprawiali o bójce, słuchał pilnie Albertus szczegółów, spamiętał je dobrze, opowiadał potém drugim, nie widząc bitwy, ile dokazował, wielu zabił Tatarów, ile łupu zdobył, chociaż ten łup miał z obdartych trupów. Po skończonéj wyprawie nałapawszy po wsiach kur kilka, przytrokował do siodła i z miną junacką, powitał plebana, który radował się wielce z powrotu swego żaka; tu prałatowi opowiedział swe wyprawy, trudy i niewczasy, ofiarował kury zdobyte, a pokazawszy się na rynku w Krakowie we zbroi, jak rycerz z nadętą miną, wrócił do plebanii, począł uczyć żaki wiejskie, odebrawszy nietknięty kałamarz, linije i oprawne w skórę „Proverbia Salomonis,“ i Katona księgi.

Taki jest bieg żywota i przygód rycerskich naszego Albertusa, którego imię powtarzano przez sto lat potém z górą ustnie i pismem. Do imienia Albertusa przywiązano nieodłączne wyobrażenie bojaźliwego żołnierza, tchórza, drągala niezgrabnego; i tak powstała swojska karykatura, co bawiła wiele pokoleń naszych ojców i pradziadów. Fabijan Birkowski, sławny kaznodzieja, co oświał w obozach, pokazując na bojaźliwych, co na samę wieść o Tatarach uciekali, mówi:

„Owo! czyż to nie bieży jako Albertus z wojny?“

I odtąd Albertusa figurę wyciągano na scenę staroświeckich widowisk, zachowując właściwy mu charakter. Występował Albertus po staro-żołniersku w jakiéj katance,(2) ściśle się przyjaźnił z Konfederatami i żołnierzami, uważając siebie jako ich towarzysza, prawił o swoich wyprawach zwycięzkich, o męztwie, co dokazywał, jakim był rycerzem. Dopomagał im kraść kury, wydzierać kmiotkom chleb i zboże, umiał ich bronić, jeśli nie siłą, to wymową, a jako nauczyciel szkółki wiejskiéj wiele między nimi doznawał powagi.

A tak od roku 1596., kiedy się zjawił Albertus, właśnie w te czasy, gdy Zygmunt III. na okręcie na baltyckie morze wypłynął po szwedzką koronę, któréj nigdy na skronie nie włożył, i synom swoim czczy tytuł wpuściźnie zostawił, aż do czasów Jana Sobieskiego, był karykaturą powszechnie znajomą w narodzie. W krótce po swojém zjawieniu za czasów Zygmunta III., wywołał figurę Matyasza, który już nie tyle zajmuje, jako więcéj naśladowca Albertusa, prędzéj też zapomnianym został. Co mówi przysłowie o Matyaszu, że

„Przyszła kréska
Na Matyska;“

toż samo spotkało Albertusa, lubo tak znajome i rozgłośne imię nosił. Starzał się on powoli, lubo żył dłużéj, niż każdy inny człowiek, zpowszechniał; a gdy pleśń stu lat z górą poczęła go okrywać, daremnie chcieli niektórzy poeci za ostatniego Wazy, i jeszcze później, wskrzesić pamięć Albertusa; już nie mógł zmartwychwstać; zmarł, i pogrzebion pod mogiłą zapomnienia!

(Dokończenie nastąpi.)

Ustęp z opisu mojéj podróży w Karpaty.

Z dziwném smutku uczuciem opuściłem Kraków, dawną Piastów stolicę. Sam nie wiedziałem, jak siedm dni mego pobytu w tém dziś smutném mieście przepłynęło. Słońce się miało ku zachodowi; jaskrawe jego promienie ozłacały wierzchołki wież licznych Krakowa kościołów; luba mgła wieczorna wznosząc się nad miastem trzech mogił, jak w grobowe powlekała je prześcieradło, a smutny, przerażający ton Zygmunta, daleko z wawelskich wież się rozchodząc, brzmiał jak głos pogrzebnego dzwonu, nieznanem duszę przejmując uczuciem. Już było znikło w mgle i oddaleniu miasto, a jeszcze ten głos, jak jęk podziemny, długo, długo słyszeć mi się zdało. A za tym głosem myśl pobiegła tam daleko, w przyszłość, szukając na jéj posępném niebie choć jednéj nadziei gwiazdeczki, i znalazła ją, lecz małą, nieznaczną, ledwie promieńmi swymi grubą mgłę nieszczęść przebijającą. A potém znów wróciła w daleką przesz-

(2) Komedya rybałtowska 1613.

łość, a na jéj jasném niebieskiém przezroczu tysiące lubych wspomnień jaśniało, i jeszcze bardziéj smutek teraźniejszości pomnażały. Tak dumając, przyszedłem do Wieliczki. Nazajutrz obejrzawszy saliny, których tu opisywać nie będę, gdy tyle innych i lepszych jest opisów, które wszakże temu, co kopalni nie widział, nie na wiele się przydadzą, raz jeszcze tęschnem okiem na oddalony rzuciwszy Kraków, ku Karpatom, których dalekie szczyty szarawo na czystem tle niebios się malowały, obróciłem. Spokój, jaki w całéj panował naturze, i śliczne widoki, które się za każdym krokiem, nie tracąc piękności, zmieniały, i w mojéj duszy zatarły wszystkie wczorajszych myśli ślady i wesoło z towarzyszami ku starym ruszałem Tatrom. Od Myślenic, miasteczka o 4 mile pocztowe od Wieliczki odległego, już się prawdziwe zaczynają góry i pierwsi natrafiają Górale. Właśnie w miasteczku był jarmark, a zatrzymawszy się nieco dla odpoczynku, dosyć miałem pory napatrzenia się ruchowi ulicznemu. Zebrani razem w tém granicznem niejako obu szczepów mieście, Krakowiacy i Górale, zabawny i interessujący przedstawiali widok. Pierwszych żywość, obrotność, gadatliwość i wesołość, pięknie odbijały od góralskiéj, że tak powiem powagi, posępności, a nawet niejakiéj ponurości, którą jeszcze ich czarne burki i kapelusze, po części nadzwyczaj szerokie, pomnażały. Jak w charakterze, tak i w wzroście, kształcie i ubiorze różnymi byli od siebie, gdy jednak różność ta zapewne z innych opisów dobrze już znana, niebawiąc się nad jéj wystawieniem, lepiéj daléj, już niecierpliwy jak najprędzéj na śnieżne Tatrów wnijść szczyty, poruszam. Nad strumieniem Raby, po którego obu brzegach zielone, to staremi świerkami porosłe, to pojedyńczemi chatami lub całemi siołami zasiane góry, z których czasem siwy granit ciekawą podnosi głowę, się wznoszą, romantyczną nadzwyczaj okolicą, ożywioną nadto gwarem powracających z targu Górali idąc, raźno, wesoło, to od ciekawych zaczepiany, to sam przechodzących zaczepiając, na o milę oddalony spieszyłem nocleg.

W karczmie, ile żydowskiéj, dosyć jeszcze porządnéj, mało kogo zastałem. Dziwiło mnie to poczęści, jako przyzwyczajonego u nas widzieć wieśniaków po odpuście, lub targu, do każdéj nieomal wstępujących karczmy; a że jeszcze nieco czasu pozostawało do wieczora, złożywszy tłomoczek, na przechadzkę, w góry się puściłem. Ledwom się o kilkaset kroków od karczmy był oddalił, gdy spotykający mnie Góral ostrzegł, żebym się schronił, gdyż niebawem nadciągnie nawałnica; jakoż niedługo daleki groźny pomruk grzmotu słyszeć mi się zdało. Ucieszony poczęści z widoku, którego używać miałem, powróciłem, by jednak lepiéj burzy się przypatrzyć, pod szopą, zasłoniony od deszczu, przyjścia jéj czekałem. W krótce chmura nadciągnęła i jasne błyskawice czarne zaczęły pruć niebo, deszcz lunął strumieniem, spienione potoki z szumem wkipiące spadały Raby nurty, a pośród wzburzonéj natury groźne piorunu gromy, straszliwém echem napełniając okolicę, straszny, lecz pociągający zarazem całéj scenie nadawały urok. Tymczasem nawałnica zgromadziła dosyć znaczną kompanią Góralów do karczmy, a ja napatrzywszy się do woli na burzę, którą i najstraszniejszéj naszéj przyrównać nie można, wróciłem do karczmy, aby tam podobnego, lubo nieco spokojniejszego używać widoku.

Rozmarzeni gorzałką Górale, każdy z króciuteńką luleczką w ustach, lubo gwarnie, daleko jednak spokojniéj od naszych sprawowali się wieśniaków. Ten rodzaj melancholii, z którą jednakże harmonijnie się łączy wszystkim sławiańskim ludom wspólna wesołość, leży poczęści w ich charakterze, poczęści pochodzi z ucisku, w jakim panowie ich trzymają, na który i przed nami i sami między sobą dosyć się skarżyli. Bo uważałem, że ci, co wolniejszego używali bytu, o wiele od drugich byli weselszymi i żywszymi. A dzielą się, że tak powiem, co do stanu, na trzy klassy, tak zwani *Szołtysi*, najmajętniejsi, po większéj części są zubożałą szlachtą, nie zawisłą od panów, mający swoje szałasy i trzody w górach. *Siodłacy*, równi naszym dawnym pańszczyznę odrabiającym gospodarzom, i *Komornicy*, z których dwaj ostatni najbardziéj uciemiężeniom podlegają. Może też i te uciski są przyczyną ich bojaźliwości z jednéj, a mściwości i zaciętości z drugiéj strony. Z tém wszystkiém bardzo są gościnni i uczynni, bezinteressowni i niechciwi, a najbardziéj do swéj ojczyzny, lubych gór, przywiązani. Dziwiło ich to niepomału, że dla widzenia tychże, tak daleką odprawialiśmy podróż, lubo ich to, o ile uważać mogłem, równie cieszyło, że tak daleko słynie ich rodzinna ziemia. — Wszedłszy z niektórymi węgierskimi Góralami w rozmowę, którzy sprzedawszy żelazo, z targu do domu wracali, tak ich prostotą, poczciwością i szczerością ujęty zostałem, że ile z jadącymi ku Morskiemu Oku, z nimi resztę podróży odprawić postanowiłem. Krótki był nasz targ, który zobopolna rozstrzygnęła szczerość, i ledwo wschodzące słońce zielone gór szczyty pozłacać zaczęło, kiedy już z nowymi towarzyszami na małym wózku puszczałem dalszą podróż. I muszę wyznać, że żadna mi nigdy tak wesoło nieschodziła droga. Piosnki ich różne od naszych wielkopolskich i krakowskich, jawnie w przeciągłych tonach okazującą się posępnością, więcéj do ruskich miały podobieństwa, więcéj też do duszy przemawiać mi się zdawały. Tak tedy, co mnie nadzwyczaj dziwiło, bardziéj, niż na równinach osiadłą okolicą jadąc, piosnek i bajek o skarbach ukrytych w Babiéj i innych Tatrów górach, opryszkach i t. p. słuchając, nagle z lasu wyjechawszy, długi łańcuch Tatrów



Widok Karpat.

wyraźnie już zoczyliśmy. Wyprzedziła je wszystkie Babia góra, jak strażnica naprzód wysokie wznosząca czoło, a za nią długim rzędem białymi szczyty ku niebu wystrzeliły Tatry. Widoczna nieomal radość malowała się w twarzach poczciwych Góralów, między mnogimi wierzchołkami rodzinnéj wyszukujących góry, a i nam z bliskiego już celu podróży niemało radości przybyło. Lecz niezwyczajnym tego widoku, co o mil siedm oddaloném było, ledwo dwie mile dalekiém się zdawało. Zmuszeni tedy noc jeszcze jednę w wiosce o pięć mil od Morskiego Oka odległéj przepędzić, nagrodzeni po części za tę zwłokę zostaliśmy spotkaniem cygana. Pierwszy to był, któregom w życiu mojém widział, ale na pierwszy rzut oka byłbym go jako takiego poznał, bo nadto odpowiadał opisowi Kniaźnina:

A za nami wszędzie nędza, — Ej chłodno i głodno!
Od wsi do wsi nas popędza. — Chociaż chłodno i głodno
Ale żyjem swobodno.

Bystry żywych i czarnych oczu wzrok, płeć nadzwyczaj śniada przy kędzierzawych wełniastych włosach, szczególna żywość, śmiałość, natrętność i obrotność, połączone z atletyczną siłą w małéj nieznacznéj postawie, okrytéj oprócz płóciennego spodniego odzienia grubym kocem węgierskim, oto cały cygana kończyły obraz. Ubawiwszy się tedy z nim do woli, rychło na spoczynek się udaliśmy, aby tém prędzéj nazajutrz w dalszą puścić się drogę. Prawie z smutkiem rozstałem się z poczciwymi mymi towarzyszami Góralami, i bez żadnego przypadku spieszno ku Morskiemu dążyłem Oku. O milę od tegoż ostatni raz w szałasie wypocząwszy i wziąwszy przewodnika, dzikiem, uciążliwem, a czasem i niebezpiecznem bezdrożem idąc, nad wieczorem u Morskiego byliśmy Oka. Już zmrok się poczynał, kiedyśmy przyszli na miejsce, a pożegnawszy przewodnika, obejrzenie stawów na jutrzejszy odłożyliśmy dzień, a tymczasem w wystawionéj umyślnie dla gości chacie, w któréj wszakże nikt nie mieszka, o trzy mile od pierwszego oddaleni sioła, przy rozpalonym ogniu smaczno na twardych zasypialiśmy ławach, i późno w dzień dopiero się przebudziliśmy. Na nieszczęście pozazdrościło nam słońce swego światła, a natomiast gruba nieznana w niżinach mgła, która i najbliższych nie dawała dostrzedz przedmiotów, cały ogarnęła widnokrąg. Czekając zatem, aż się trochę rozjaśni, naprawialiśmy tymczasem tratewkę, dla przewozu po Morskiém Oku zbitą. A wtém téż i mgła nieco ustąpiła, a my wesoło rzuciliśmy się do wioseł, by coprędzéj przez Morskie Oko się przeprawić. Jest to staw podługowaty1), ze wszech stron wysokiemi granitu skałami okolony, na których tylko niski kosodrzew i licha trawa tu i owdzie się puszcza. Nazwisko Morskiego Oka dostał podług podań Góralów dla tego, że ma związek z morzem, i że na jego dnie szczątki okrętów

(1) Zob. P. L. r. VI., N. 1.

znaleść miano, jak ja mniemam, dla nadzwyczajnéj głębokości, która w niektórych miejscach 37 sążni dosięga. Woda tego stawu nadzwyczaj zdaje się zielona i podobno niezdrowe zawiera pierwiastki, lubo ja, który dosyć jéj się napiłem, tego bynajmniéj nie doznałem. Przepłynąwszy Morskie Oko, śmiało pod spadzistą, kilkaset sążni wysoką granitową skałą, po któréj szarym boku pieniąc się biała lała się kaskada, bez drogi i przewodnika, ku Czarnemu dążyliśmy stawowi, i nareszcie nad jego ujrzeliśmy się brzegiem. Mniejszy o trzy razy może od Morskiego Oka, z resztą zupełnie mu podobny, głębszy jednakże jest bez porównania, a zupełnie już nagie, w rozpadlinach odwiecznym śniegiem pokryte skały, dzikszy jeszcze przedstawiają widok.

Rzuciwszy okiem koło siebie, dziwne w méj duszy obudziłem myśli. Te tatry, tak długo i wytrwale już wytrzymujące wszystkie groźne nawałnice, bolesne lecz i pocieszające zarazem wywołały w mém sercu wspomnienia. Pomostem podemną leżące odwiecznych świerków konary, niezwyczajną wichrów wywrócone wściekłością, już inne, zielone, młodociane puszczały szczepy, które dłuższą nad ojcowską zapowiadać się zdawały bytność.

Te dwa stawy wydawały mi się w téj chwili smutnemi gór oczami, szerokimi łzy lejącymi strumieńmi, gdy tymczasem stare skały, których ściany grubo, już to zwietrzałem, już od piorunów zwalonem granitów rumowiskiem osute były, dumnie i groźno, aż po za granice wściekłych chmur, z szumem o twarde ich boki się roztrącających, białe kończate podnosiły szczyty. A pomiędzy całym tym dzikim zniszczenia i niewzruszonéj wytrwałości obrazem, równie trwały znak zbawienia, na ostatnim najwyższym krańcu naszéj ziemi wzniesiony (1), silnie zapewne do duszy czującego człowieka przemawiać musiał. Tak i do mnie przemawiał, tak ja dumałem, kiedy wtém nagle powracająca mgła, usunąwszy wszystkie z oczu przedmioty, szybko powracać kazała. Zeszliśmy i za kilka godzin już daleko za nami było Morskie Oko, już znowu tylko niewyraźnie ciemne gór szczyty z pośród zamglenia sterczały, ale choć dziś i czasu już dosyć minęło, i droga do niego daleka, jednak widok Morskiego Oka wtenczas i uczucie, któregom doznał, jak dziś żywo pamiętam, tak i późniéj nie tak prędko zapewne w méj duszy zaginie. *S. N.*

Zimowa noc.

(Dalszy ciąg.)

4.

„A co się stało z panem Bigierem, doktorem Francuzem? to rzecz wyśmienita.

(1) Nad brzegiem Czarnego stawu stoi krzyż żelazny, w skałę wpuszczony, w r. 1835. przez biskupa lwowskiego tam wystawiony.

Pan Bigier był doktorem przy którymś półku gwardyi cesarza Napoleona, wzięty w niewolę na Litwie, a potém oddany na porękę panom Stolnikowiczom Fiedorowiczom z Połowcina; był zapamiętały Napoleonista.

Raz pamiętam, pani Stolnikowa mówiła do pani marszałkowéj Trzeciakowéj z Adampola, o panu staroście Bachtyńskim:

„Temu wszystkiemu to stryjaszek winien! —“

Bigier porwał się z miejsca, a źle mówił po polsku, i zawsze przekręcał, bo ledwo piąte przez dziesiąte rozumiał.

„„Tak temu brawo, pani Stolnik. Austryaczyk zdrajca Napoleona.““

Otoż pan Bigier jeździł po okolicy, i namawiał, ażeby Polacy porwali się do broni, i bronili Napoleona podówczas składającego koronę we Francyi.

Pan Bigier bywał częstym gościem w Biczowy.

Raz tam przyjechał, i tylko co rozgadał się z panem Szuszkiewiczem o swoich zamiarach, aż tu zabrząkały pocztowe dzwonki, i wpadł do dworu Zasiedatel w mundurze, przy szpadzie z dwóma żołnierzami.

Jak dym wprost do pana Bigiera przystąpił, pokazał mu papier po ukazie cesarskim, polecający, aby zabrał Francuza Bigiera, jako politycznego przestępcę tam, gdzie mu kazano.

Pan Szuszkiewicz chciał go przekupić, ale daremna rzecz; Zasiedatel oświadczał, że to jest tak ważny więzień, iż gdyby go wypuścił, natychmiast zostałby rozstrzelanym; z początku Bigier się srożył, po francuzku przeklinał, ale potém spuścił nos na kwintę, i porządnie stchórzył.

Żegnał się z panem Gracyanem, jakby na tamten świat wyjeżdżał, i pan Gracyan jak bóbr płakał, aż Zasiedatel się rozczulił, i przyrzekł grzecznie obchodzić się z więźniem w drodze.

Wsadzono Bigiera w kibitkę tak ciemną, że najmniejszą szparką światło tam niedochodziło; Zasiedatel i jeden żołnierz siedli obok niego i ruszyli.

Biedny Bigier świata Bożego nie widział, tylko słyszał, jak dzwonki mu brzęczały w uszach, i kibitka tak stukotała, że o mało mu kiszek z brzucha nie wytrzęsła. Na stacyach duchem przeprzęgano konie, a Zasiedatel i żołnierz nieruszali, tylko bardzo rzadko z miejsca, i to wtenczas więźniowi zawięzywano oczy. Jeść mu się niechciało, i spać nie mógł. Nie mógł rozpoznać, wiele dni i nocy tak jechał, ale już zaczął czuć sibirskie zimno, kiedy kibitka stanęła i wtrącono go do ciemnego więzienia.

Więzienie było obszerne, ale bez podłogi, tylko trochę słomy namacał na posłanie; dano mu kawał suchara i kufel wody. Francuz rozmyślał o Napoleonie i gotował się do śmierci, kiedy nagle usłyszał głos cichy:

„Bigier! Bigier!“

Spojrzał, i spostrzegł u góry troche jasności w malutkiém okienku, które się otworzyło.

„„Kto taki?“ “

„Ja Szuszkiewicz.“

„„Co, ty tu, tak nieszczęśliwy jak ja?“ “

„Nie, jam tu za tobą w ślad przyjachał, żeby ciebie uwolnić.“

„„Poczciwy Gracyanie, w jaki sposób?“ “

„Ot masz rydel, kop tu wprost pod oknem, a ja czekam z końmi i uciekniemy.“

„„A jak mnie złapią?“ “

„Niebój się, ja przekupiłem żołnierza co tu stoi.“ Spuścił mu rydel.

Francuz kopał a kopał, gorący pot go oblewał, a drżał, żeby go kto nie postrzegł; kopie, słucha, nic niesłyszy; kopie daléj, nareszcie zdało mu się dosłyszeć tentnienie końskiego kopyta; nadzieja wstąpiła w serce, większą siłą kopie; słyszy głosy ludzkie, zataił się; zdaje mu się, że rozpoznaje głos pana Gracyana.

Już dzień, a jego jeszcze niemasz.

Całych sił dobył, kopnął, ziemia się usunęła, światło dzienne widać, kopnął raz, drugi, i już na wolności: patrzy, oczom swoim nie wierzy, gdzież się znalazł.

Na dziedzińcu w Biczowéj, koło spichlerza; pan Gracyan i mnóstwo gości go witają, między niemi Zasiedatel i żołdaci, to był kamerdyner i kozacy pana Gracyana.

Biednego Francuza woźili koło dziedzińca, i w spichlerzu zamknęli.

I gniew i śmiech go porwał.

„„Bógdajby ciebie djabeł wziął za twego żarty.“ “ “

Ksiądz Jacek skończył, a myśmy prosili o jeszcze.

„No, jeszcze wam jednę powiem, ale potém basta, bo już i dzień się robi, ja słyszę, jak koguty pieją na doświtki.“

(Dokończenie nastąpi.)

O wydaniach dzieł historycznych przez Edwarda hr. Raczyńskiego.

(Dalszy ciąg.)

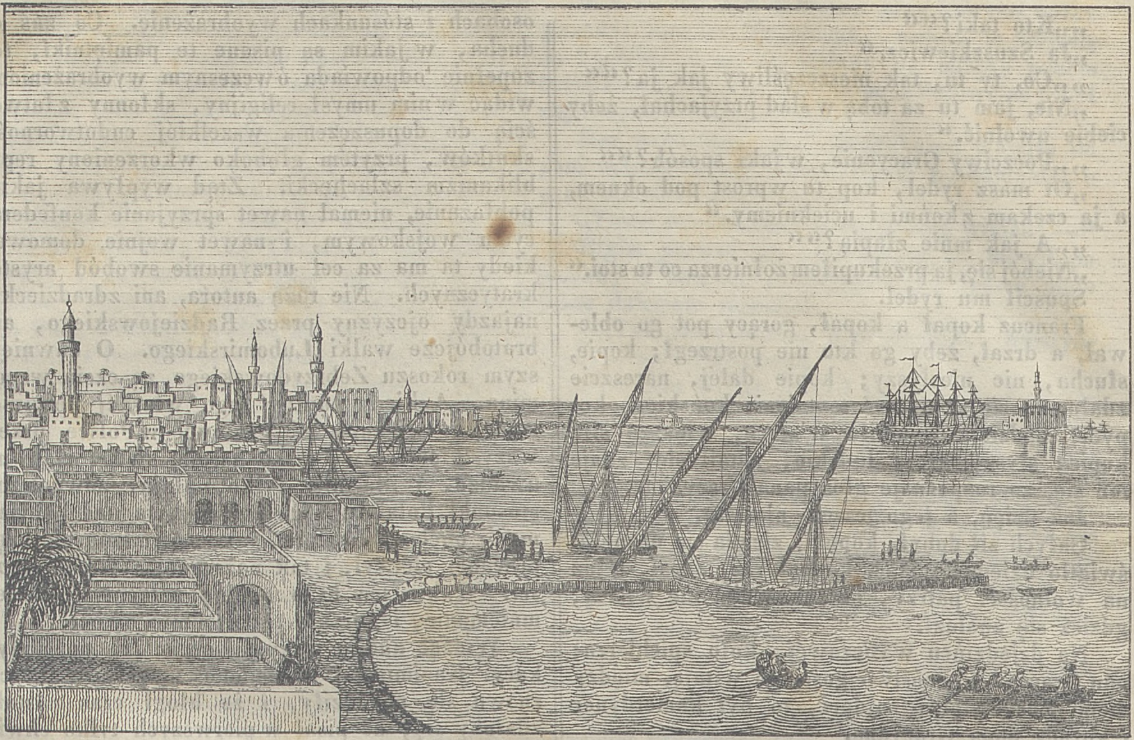
Aby zatem to pismo, któremu do właściwie pragmatycznéj historyi wiele jeszcze przymiotów niedostaje, przynajmniéj za całkowitą kronikę panowania Kazimierza Wazy uchodzić mogło, powinien był jeszcze wydawca, brakujące części z Kochowskiego i Rudawskiego wypełnić.

Najciekawsze są w tém dziele sceny i przymówienia między głównymi dramatu ówczesnego aktorami, jako to: królem Kazimierzem, królową Ludwiką, królem Karolem Gustawem, elektorem Fryderykiem Wilhelmem, carem Alexym, Bogdanem Chmielnickim, Stefanem Czarnieckim, Jerzym Lubomirskim, Janem Sobieskim, Prymasem Prażmowskim; rossyjskimi wodzami: Chowańskim, Dołgorukim, Szeremetiewem, Kozłowskim i t. d. Nie jeden z tych miejscowych zarysów dokładniejsze nam daje o ówczesnych osobach i stósunkach wyobrażenie. Co zaś do ducha, w jakim są pisane te pamiętniki, ten zupełnie odpowiada ówczesnym wyobrażeniom; widać w nim umysł religijny, skłonny z łatwością do dopuszczenia wszelkiéj cudotworności skutków, przytém głęboko wkorzeniony republikanizm szlachecki. Ztąd wypływa jakieś pobłażanie, niemal nawet sprzyjanie konfederacyom wojskowym, i nawet wojnie domowéj, kiedy ta ma za cel utrzymanie swobód arystokratycznych. Nie rażą autora, ani zdradzieckie najazdy ojczyzny przez Radziejowskiego, ani bratobójcze walki Lubomirskiego. O dawniejszym rokoszu Zebrzydowskiego ze czcią wspomina. A kiedy podług jego własnéj powieści rossyjscy więźnie, lub posłowie w Polsce, przed wszystkiém sławę tylko narodu swego mają na uwadze, i dla niéj tylko pałają; zewnętrzne stósunki Polaków i ich zwycięztwa nad obcymi, mniéj obchodzą autora, jak utrzymanie nieskrępowanéj elekcyi, i tak nazwanéj *złotéj wolności*. Takie też było ogólne szlachty polskiéj mniemanie, i gorzkie też zrodziło owoce.

Widząc autora utrzymującego: że po abdykacyi Kazimierza zwaśnione umysły w Polsce znowu się pogodziły, i że błogi czas nastał, zdałoby się, że pisał w pierwszych tylko chwilach tak osławionego późniéj panowania Michała. Ale w inném miejscu wspominając o chorążym koronnym, Janie Sobieskim, dodaje: t e n c o p ó ź n i é j b y ł k r ó l e m, zkądby wnosić wypadło, że nie tylko za króla Jana, ale późniéj dzieło swe pisał. Zaiste trudne są takie objaśnienia, bo nie jedna taka parenteza mogła przez przepisywaczów późniéj być dodaną, co tylko jest nowym dowodem, jle podobne wydania uwagi i dokładności wyciągają.

W ogólności dzieło to zajmujące jest dla każdego, którego dzieje kraju obchodzą, i wielorakie nastręcza uwagi. Zdaje się, że niższe w strategicznym względzie od szwedzkich wojska polskie, znaczną jeszcze wyższość nad rossyjskiemi zachowywały. Smutny nader jest opis owéj bitwy pod Montwami nad Notecią, gdzie Polacy przeciw Polakom walczyli, kiedy niestawało wojska dla dania oporu zewnętrznym nieprzyjaciołom. Opłakany też widok owego rokoszu, czyli konfederacyi wojskowéj pod Zgromskim, wyłamującéj się z pod prawnéj zwierzchności, i zbrojną ręką wszystkie koronne, duchowne i obywatelskie majątki w sekwestr biorącéj, dla wyciśnienia z nich należnego wojskowym żołdu. Ale w ręku dzielnego i zręcznego króla to samo niesforne żołdactwo stać się mogło narzędziem do zaprowadzenia wojskowego despotyzmu. Te bowiem wojownicze tłumy chętnieby służyły każdemu, ktoby im żołd zapewnił; a tak wymuszone wojskowym trybem finanse, dałyby zwycięztwo nad nieprzyjaciółmi wewnętrznymi, i ustaliłyby sławę, tudzież istność narodu.

(Dalszy ciąg nastąpi.)



Widok Alexandryi.

Alexandrya.

Wszystkich oczy zwrócone są dziś na stolicę Mehmeta Ali, Alexandryą: wyrzekł bowiem dumny Muzułmanin, iż tutaj chce oczekiwać wypadków wojny, rozpoczętéj z mocarstwami połączonemi Europy. Dla tego podajemy Czytelnikom naszym widok téj stolicy z krótkim jéj opisem.

Alexandrya, leżąca na brzegu morskim na 9 lub 12 mil w stronie zachodniéj Nilu, bardziéj do pustyń libijskich, niż do Egiptu należy. Jeden kanał dostarcza jéj wody w czasie wezbrania Nilu, zmuszeni więc są mieszkańcy zachowywać ją w cysternach i studniach, które są zabytkami dawnéj wspaniałości miasta. Okolica Alexandryi pusta i nie urodzajna; tu i owdzie tylko spostrzegasz dziś krzewy zielone i palmowe drzewa. Kanały, użyzniające niegdyś całą tę smutną krainę, są dziś zupełnie zaniedbane, bo przemysł, co je wzniósł, dziś zupełnie leży odłogiem.

Alexander W. dał początek miastu temu; pod Ptolemeuszami do najwyższego stopnia doszło potęgi i znaczenia; później opanowane przez Rzymian, do środka siódmego wieku hołdowało wschodnim cesarzom. Arabowie pod wodzą Omara zdobyli Egipt: Alexandrya legła po większéj części w gruzach z ową sławną z czasów Ptolemeuszów książnicą, a pod tureckiém panowaniem coraz bardziéj upadać zaczęła. Dzisiejsze miasto na inném stoi miejscu, jak gród przez Alexandra W. wzniesiony; wystawione jest między dwoma portami, zwanemi *starym i nowym portem*, w miejscu, gdzie była dawna grobla, łącząca Pharos z stałym lądem. Ulice ciasne, i jak zwykle w miastach wschodnich, niebrukowane; domy wysokie i ciemne. Lud ubogi, wycieńczony podatkami, bez przemysłu i handlu, bo ten w rękach się cudzoziemców znajduje.

Na szczególniejszą uwagę zasługują rozwaliny dawnego miasta, rozciągające się nad brzegiem, i w głąb kraju w znacznéj rozległości. Wieże, połączone murami, są dziełem Arabów; w późniejszych czasach, kiedy wspaniałe budowle z czasów świetnych w gruzach legły, użyto kolumn i innych szczątków, noszących na sobie znamiona, iż były dziełami mistrzowskiéj ręki, do rozmaitych warowni, gdzie ich oko miłośnika starożytności wyszukiwać musi. Podziwiane bywają dziś jeszcze ruiny sławnego pałacu Kleopatry. Przeglądając ruiny Teb, Phile i innych miast, pokazuje się, iż Egipcyanie stawiali swe obeliski nie na środku placów, lecz po bokach bram główniejszych. Podobna zatem do prawdy, iż Kleopatra tymże sposobem postawiła dwa sławne obeliski, jéj miano dziś jeszcze noszące, sprowadziwszy je z innéj okolicy Egiptu, w celu przyozdobienia swego pałacu, bo za jéj czasów już nie ryto hieroglifów na pomnikach publicznych, a nawet był już wtedy klucz do ich zrozumienia zaginął. Drugą pamiątką z świetnych Alexandryi czasów jest kolumna Pompejusza, na miejscu wysokim stojąca, z jednego kawała granitu, 114 stóp wysokości mająca: widok ztąd na Alexandryą i dwa jéj porty zachwycający. Fundamenta jéj nadwerężone znacznie, lud bowiem zabobonny, myśląc, że w pomnikach tego rodzaju wielkie przechowywano skarby, szukając ich, podkopał kolumnę. Warownie Alexandryi, mianowicie cytadele broniące portu, do najobronniejszych na wschodzie należą; najeżone sa tysiącami dział, pomiędzy któremi wiele znajduje się kamiennych nadzwyczajnéj wielkości.

W bliskości Alexandryi znajduje się góra nad samém morzem, gdzie dawniéj była Kanopa, z zamkiem obronnym, *Abukir* nazwanym, sławnym nieszczęśliwą bitwą Francuzów z Anglikami.

Beduini różnych pokoleń pustoszą ciągle okolice Alexandryi, i ponieważ stałych niemają siedlisk, wszelkie kroki Mehmeta Ali naprzeciw nim przedsiebrane, nie mogły dotąd napadom ich położyć końca.